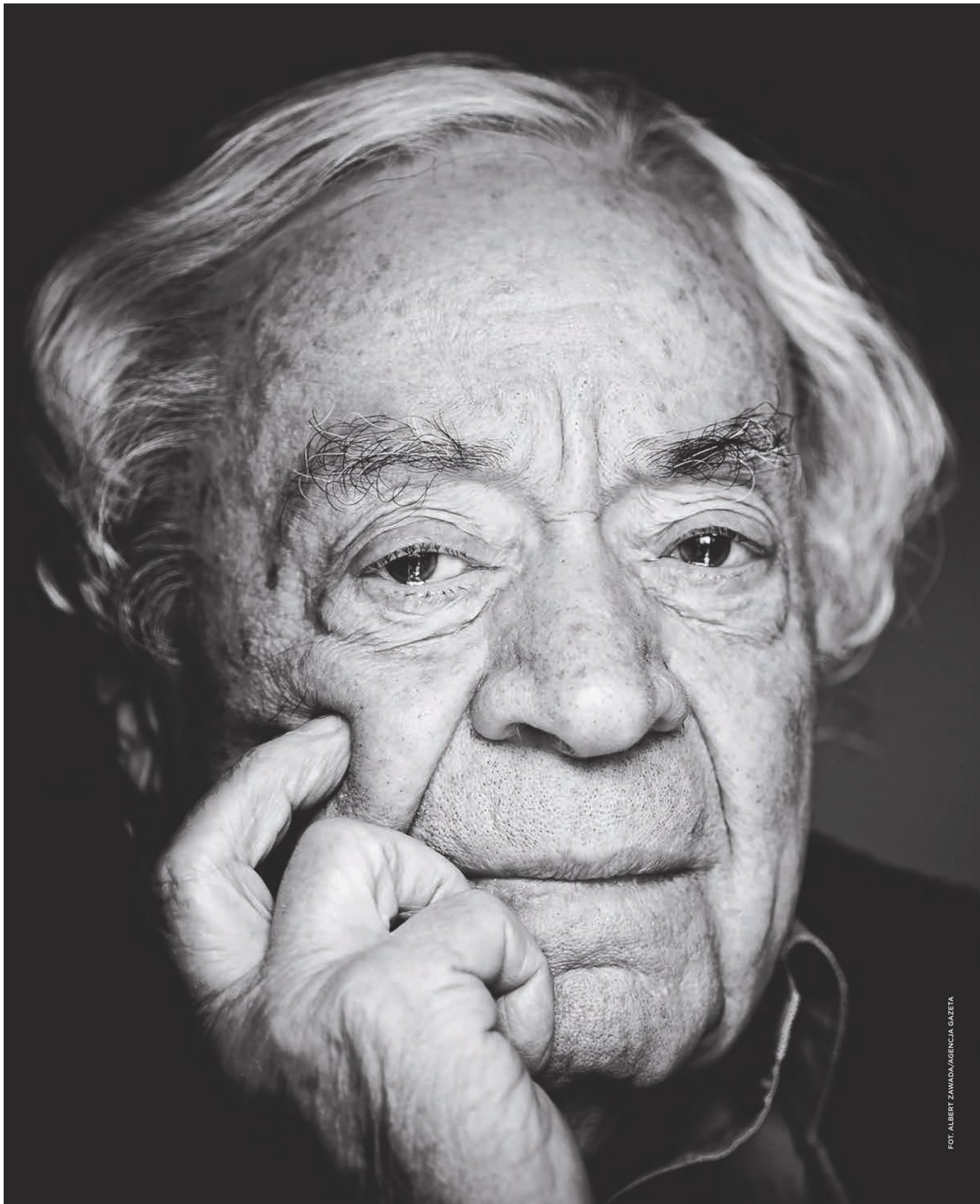




ROZMOWA Z JÓZEFEM HENEM

Zły zakręt

W Polsce prawo jest dziś w rękach partyjnych, więc jaka to może być przyszłość? Rozwiązanie jest tylko jedno – trzeba wygrać wybory. I nie można liczyć, że ktoś zrobi to za nas – mówi pisarz **JÓZEF HEN**

ROZMAWIA ALEKSANDRA PAWLICKA

NEWSWEEK: Czy Polska znalazła się na zakręcie historii?

JÓZEF HEN: Na zakręcie w stosunku do przeszłości, bo wydawało się, że w historii wyszliśmy na prostą. I najgorsze jest dziś to, że szybko i bezpiecznie z tego zakrętu nie wyjdziemy. Nie widzę oznak, że idzie ku zmianom. Zły zakręt się ustabilizował.

Jesteśmy w innym miejscu niż to, o którym myśleliśmy, gdy 4 czerwca 1989 r. skończył się w Polsce komunizm?

– Było wtedy dużo marzeń i równie dużo złudzeń. Wydawało się, że większość społeczeństwa ma dość tego, co było, wybory to zresztą potwierdziły. A jednak życie pokazało, że pragnienie zmiany nie oznaczało dla wszystkich tego samego. Pamiętam, jak spotykając się wtenczas z ludźmi, którzy robili Solidarność i przygotowywali grunt pod transformację, przestrzegałem, że nie wszyscy mają to samo na myśli, mówiąc: państwo demokratyczne. Dla niektórych oznaczało ono nowy despotyzm, tyle że ich despotyzm. Dziś mamy tego potwierdzenie.

Pamięta pan entuzjazm tamtego 4 czerwca?

– Nie nazwałbym siebie entuzjastą. Byłem może nie tyle chłodniejszym, co bardziej doświadczonym uczestnikiem tamtych wydarzeń. Historia nie zaczynała się dla mnie w 1989 r., choć oczywiście to ważna data i bardzo ważne wybory. Dla mnie nowa Polska oznaczała na przykład wydanie powieści napisanej w latach 1956-1957, której publikacji przez 33 lata zakazywała cenzura. „Nikt nie woła” to autobiografia, w której opowiedziałem o tym, co przeszedłem. Po latach napisałem posłowie, tłumacząc, że to historia gniewnego chłopca, który mimo poczucia bezsilności obiecywał sobie: „Napluję im wszystkim w twarz”. „Komu?”. „Wszystkim,

”Gdy starość staje się tworzywem literackim, przestaje się jej bać, bo jest czymś, nad czym mam władzę

którzy tak pięknie gadają”. Ten chłopiec (czyli ja) uciekł z batalionu pracy w sierpniu 1942 r. na ostatnią komisję rekrutów do armii Andersa. Nie został przyjęty, ale nieoczekiwanie obdarzono go pełnym umundurowaniem. Przebrał się, rzucił swoje podarte łachy do rzeki, huknął butem i krzyknął: „Teraz wam pokażę!”.

W posłowie napisał pan również, że trzymając po latach wydrukowany egzemplarz, miał „świadomość zmarnowanej egzystencji tej książki, czasu jej niedostępności, a więc i niemożności podzielenia się z czytelnikiem fundamentalnym doświadczeniem”.

– Może właśnie dlatego u progu demokratycznej przemiany byłem bardziej zdystansowany? Pamiętam, gdy pewna dziennikarka pochwaliła się na zebraniu, że zorganizowała w swoim mieście Związek Zawodowy Literatów Solidarność. Zaprotestowałem. Powiedziałem, że byłem już w partyjnym związku i jeśli nowy ma coś zmienić, to musi ogarniać wszystkich, którzy chcą w nim być, bez zaglądania ludziom do serc i życiorysów. Poparła mnie tylko jedna osoba. To była zła zapowiedź. Zapowiedź podziałów i rozpadu. I życie

pokazało, że jeśli chodzi o literatów, wszystko się rozsypało.

Nie tylko literatów. Podział stał się częścią życia społecznego.

– Moja wnuczka, matematyk światowej klasy, wykształcona w Dartmouth, pracująca w Kanadzie przy międzynarodowych projektach, mówi, gdy rozmawiamy przez Skype’a: „Dziadku, gdy byłam w Polsce, spotkałam wielu wspaniałych ludzi. Ale wiesz, lepiej, żebyś miał paszport”. Ja tego nie rozważam oczywiście, ale martwi mnie, że ona, mająca dobrą pracę i uznanie w świecie, ma w sobie niepewność tego, co może się tu zdarzyć. Wiem też, że są ludzie z doskonałym wykształceniem, którzy myją umywalki na Zachodzie.

Gdy znalazł się pan na Zachodzie po Marcu '68, powiedział pan: „Nie obchodzi mnie to, co dzieje się w Paryżu. Mnie obchodzi to, co dzieje się w Polsce”, i po krótkim pobycie za granicą wrócił pan do Warszawy.

– Giedroyc przekonywał mnie, żebym został i pisał dalsze opowiadania ze zbioru „Oko Dajana”. Ale ja nie potrafiłem. „Oko Dajana” napisałem po powrocie do Polski i jakiś cudzoziemiec przewiózł to w kieszeni płaszcza na Zachód. To opowieść o przypadkach Andrzeja Miłosza, którego nazwisko brata oskarżało, ale i broniło jednocześnie. Wiem, że Czesław Miłosz był dumny z zachowania brata, którego bezpieka próbowała nakłonić do współpracy.

Może rozdarcie jest polskim losem?

– Rozdarcie między szlachetnością a podłością?

Może to nasza słabość, a może siła?

– O jakim „my” rozmawiamy? Bo to nasze „my” jest bardzo różnorodne. Co najmniej od czasów Kościuszki. Pewnie mało kto wie, że Jan Henryk Dąbrowski – uczestnik insurekcji, a potem twórca Legionów Polskich we Włoszech – przystąpił do Targowicy, żeby ustrzec swoją brygadę przed targowiczaniem. Król Stanisław August Poniatowski także przystąpił po głosowaniu w swojej radzie ministrów, namawiany zresztą do tej decyzji przez Hugona Kołłątaja. Zrobili to, żeby rozsadzić Targowicę od środka. Szczęsny Potocki, Ksawery Branicki,

Radziwiłłowie i pozostali targowiczanie wściekli się, bo myśleli, że będą rządzić. O tym jest książka „Mój przyjaciel król”. **Stawia w niej pan tezę, że dzięki działalności Stanisława Augusta naród przetrwał, choć państwo przestało istnieć. Czy dziś nie jest odwrotnie? Państwo przetrwa, ale naród zostanie zniszczony?**

– Wtedy naród przetrwał dzięki pracy i ambicji króla, który założył Komisję Edukacji Narodowej, Szkołę Rycerską, uaktywnił uniwersytety, sprowadzał z zagranicy naukowców... Wykształcił elity i one pozwoliły narodowi przetrwać.

„*Nie mamy Bidena ani Macrona, ani podstaw demokracji, bo prawo zostało zniszczone*”

Obecna władza też chce tworzyć nowe elity.

– I szkoda na to słów. Ale opowiem pani anegdotę o władzy. Byłem kiedyś na uroczystości związanej z gettem warszawskim, która odbywała się w hotelu Bristol. Andrzej Urbański, wiceprezydent miasta przy ówczesnym prezydencie Warszawy Lechu Kaczyńskim, spotkał mnie w holu i mówi, że moja opowieść biograficzna „Ja, Michał z Montaigne” to książka jego życia i – „napijmy się wódki”. Okej – mówię, a on od razu: „To jeszcze po jednym”. Dziękuję, bo zaraz zaczyna się bankiet, ale on nalega: „Po drugim, panie Józefie”. A potem po trzecim. Dwa tygodnie później czytam z nim wywiad, w którym zapewnia: „Wódki to ja nie piję”. Co tu mówić o spójności świata, o spójności jakiegoś „my”, skoro spójność „ja” bywa bardzo wątpliwa.

Przywołał pan Montaigne’a, którego często pan cytuje: „świat jest nienaprawialny”. Może jednak być

trochę lepszy lub trochę gorszy, czego doświadczył pan w swoim długim życiu. W jakim kierunku zmierza dziś?

– Nie widzę nic lepszego, ani tu u nas, ani w świecie. Może oczywiście pocieszać fakt, że Trump nie jest już prezydentem, ale w Ameryce wciąż zaskakująco dużo ludzi myśli jak Trump, będąc jego wielokrotnym odbiciem. A w Polsce? Nie mamy Bidena ani Macrona, ani podstaw demokracji, bo prawo zostało zniszczone. W Polsce prawo jest dziś w rękach partyjnych, więc jaka to może być przyszłość? Rozwiązanie jest tylko jedno – trzeba wygrać wybory. I nie można liczyć, że ktoś zrobi to za nas.

Pytanie, jak szybko uda się to zrobić?

– Odpowiedzią jest wynik wyborów prezydenckich z 2020 r., gdy Duda wygrał z Trzaskowskim o kilkaset tysięcy głosów, ale obaj zebrali ich ponad 10 milionów. To dowód na to, że przy umiejętnym przedstawieniu celów można wygrać. Następnym razem te kilkaset tysięcy głosów może znaleźć się na naszej szali.

Pana dewizą jest żyć bez strachu, taki jest zresztą tytuł pana dzienników wydanych w ubiegłym roku. Może to jest warunek zwycięstwa, przestać bać się PiS i Kaczyńskiego?

– To bez strachu było we mnie zawsze. W książce „Nowolipie” opisuję oblężenie Warszawy w 1939 r., gdy w czasie bombardowań wszyscy drżeli ze strachu w piwnicy, a ja leżąc, czytałem „Pogrom” Emila Zoli. Nie odczuwałem strachu, bo świadomość literacka pozwalała mi obserwować swój strach jako tworzywo literackie, a skoro mogę coś opowiedzieć, to tego się już nie boję. Dziś obserwuję w ten sposób swoją starość i dzięki temu przestaję się jej bać.

Ludzie zwykle boją się starości.

I to bardzo.

– Wiem. Mnie starość zaciekała od tej właśnie strony, jako źródło lęku. W tym sensie odczucie jest podobne jak w czasie oblężenia Warszawy. I tu, i tu chodzi o konfrontację ze śmiercią. Fizyczna starość – wiadomo – tego nie można, tamtego nie można, coraz więcej nie można. Od dwóch lat nie wychodzę z domu. Pandemia dołożyła swoje i wszyscy, którzy mnie odwiedzają, zatrzymują się w pro-

gu, aby mnie chronić. Ale jest jeszcze starość duchowa. I ona mnie interesuje. Gdy staje się tworzywem literackim, przestaje się jej bać, bo jest czymś, nad czym mam władzę.

Wracając do „Bez strachu”...

– To jest opowieść nie tylko o woli walki. Małżeństwo Szleyenów adoptuje po wojnie dwie dziewczynki. On jest partyjnym notabłem, ona uznana tłumaczką, chcą podarować wojennym sierotom rodzinę. Gdy jednak panny dorastają i nastaje Gomułka, piszą do partii, że wyrzekają się adopcji i proszą o przywrócenie im katolickiego nazwiska. Jest Marzec '68. W ostatnim zdaniu tej historii Szleyenowa, która zdążyła już stracić męża, mówi, że straciła też córki, które przecież pokochała. To także opowieść o braku uczucia i o ludzkiej podłości.

Kiedyś powiedziałem, że emigranci 1968 roku powinni stawiać za granicą Moczarowi pomniki, bo dzięki niemu zaczęli żyć jak ludzie. Dziś nie ma Gomułki, jest katolicki kraj, w którym zadziwiająco dużo jest nienawiści.

A może „zimnego obłędu”, jak nazwał pan kiedyś normalność, która okazuje się nienormalnością?

– To określenie użyte przeze mnie przy okazji napisanej w 2011 r. noweli „Szóste najmłodsze”. Opowiada o najmłodszej córce Goebbelsów. Jak wiadomo, żona Josepha Goebbelsa, Magda, otruciła sześcioro swoich dzieci, nie widziała sensu ich życia w świecie bez Hitlera. U mnie jedna z córek okazuje się niedotruta i zajmują się nią zdobywcy Berlina. Na spotkaniach z czytelnikami to opowiadanie budziło sporo emocji. Znalazło się zresztą w tureckiej antologii polskich opowiadań, co mnie zdumiało, ale i ucieszyło. Gdy rozmawiałem z czytelnikami, pytałem, czy nie gorszy ich to, że bohaterką jest córka Goebbelsa. Zwykle odpowiadali: dziecko to dziecko.

Dzieci nie ponoszą winy za grzechy ojców.

– Im dłużej żyję, tym bardziej jestem przekonany, że nie można generalizować. Ludzie przede wszystkim są różni. Nie ma tylko dobrych i tylko złych. Ludzie dają się zwodzić władzy, bo interesuje ich możliwość urzędowania się w życiu, szansa do-

robku. Opowiadanie „Szóste najmłodsze”, podobnie jak inne napisane w tym samym czasie, „Długa, chyża łódź”, powstały po śmierci mojej żony i niewątpliwie wpływ tego, co działo się wówczas w moim życiu, jest obecny w obu tekstach.

Są próbą ocalenia pamięci?

– Rena, moja żona, jest bohaterką także drugiej części „Nikt nie woła”, książki, od której zaczęliśmy naszą rozmowę. Kiedyś zaczęła mnie na ulicy nieznaną kobietą i zapytała, czy nie wiem, jak potoczyły się losy dziewczyny, która żegnała się z głównym bohaterem „Nikt nie woła” na peronie w Samarkandzie. „Wiem – odparłem – jest babcią moich wnucząt”. Pani rozplakała się. Czytelnicy „Długiej, chyżej łodzi” też płakali, bo czuli, że tam pod spodem jest udzielający się sentyment. Pisałem o bohaterce mojego życia, a każdy, czytając tę historię, myślał zapewne o sobie. „Długa, chyża łódź” to opowieść o papua-skim czarowniku, sprzedawcy snów, którą wiele lat temu zasłyszałem i odnotowałem i której prawda okazała się uniwersalna.

Wielokrotnie opowiadał pan o śnie, opisanym w książce „Nowolipie”, który uratował pana przed Umschlagplatzem. Kazimierz Brandys zapytał pana kiedyś: „A teraz co ci się śni?”. Chciałabym zadać to samo pytanie.

– Tamten sen chyba rzeczywiście mnie uratował. Po kampanii wrześniowej wyjechałem z Warszawy, ale w pewnym momencie rodzeństwo uchwaliło, że mam wrócić do rodziców, na Nowolipie. We śnie zobaczyłem policjantów niemieckich, każdy z wąsikiem Adolfa, i gdy się obudziłem, pomyślałem: nie chcesz wracać, w każdym z nich jest Hitler. Miałem wówczas 16 lat. Pewnie gdybym wrócił, trafiłbym do getta i któregoś z obozów zagłady. Rodziców wywieziono na Majdanek, skąd ojciec trafił do Buchenwaldu i tam został zamordowany tuż przed końcem wojny. Mama przeżyła w obozie w Lipsku. Z całej rodziny ocalała tylko ona i jedna siostra. Co dziś mi się śni? Najczęściej, że próbuję wsiąść do samochodu i to mi się nie udaje. W snach, tych filmach tworzonych przez mózg na dłu-

go przed wynalazkiem braci Lumière, najpiękniejsze jest to, że każdy ma własne. Nawet bliźniaki nie śnią tego samego.

Powiedział pan kiedyś, cytując brytyjskiego pisarza Samuela Johnsona, że „patriotyzm to ostatnia deska ratunku łajdaka”.

– Caryca Katarzyna, wysyłając wojska, które miały pomóc targowiczynom, oświadczyła, że czyni to, by pomóc polskim patriotom. Ambasador Stackelberg, gromadząc wokół siebie sprzedawczyków, nazwał ich Towarzystwem Patriotycznym. Lepiej więc nie nadużywać tego słowa. Patriotyzm to nie jest coś, co musi się głośno manifestować. Myślę, że w duchu każdy dobrze wie, kim jest naprawdę. **N**

aleksandra.pawlicka@newsweek.pl

JÓZEF HEN JEST WYBITNYM PISARZEM POCHODZENIA ŻYDOWSKIEGO, AUTOREM PONAD 40 KSIĄŻEK: POWIEŚCI, OPOWIADEK, ESEJÓW HISTORYCZNYCH, A TAKŻE SCENARIUSZY FILMOWYCH. „NIKT NIE WOŁA”, „NOWOLIPIE” „JA, MICHAŁ Z MONTAIGNE”, „MÓJ PRZYJACIEL KRÓL” I KOLEJNE TOMY DZIENNIKÓW OSIĄGAŁY WIELOTYSIĘCZNE NAKŁADY W LISTOPADZIE KOŃCZY 98 LAT